

Miłość silniejsza jest niż śmierć, czyli spotkanie z osieroconym mężem



To było jedno z takich spotkań, których długo nie da się zapomnieć. I choć wszystko działo się w dość tłocznej i głośnej scenerii targów książki, słowa, które usłyszałam, naprawdę dały mi do myślenia. I dały nadzieję.

Każdy, kto odwiedza targi książki katolickiej w Arkadach Kubickiego, wie, że to miejsce niekoniecznie nadaje się na głębokie, życiowe rozmowy. Głośno, z megafonów dobiegają zapowiedzi kolejnych imprez, chwilami trzeba się aż przekrzykiwać, żeby coś usłyszeć, ktoś się przepycha, bo tłok niemiłosierny (wszak taka gratka w Warszawie nie zdarza się codziennie).

W pewnej chwili gdzieś w tłumie wypatruje nas pewien mężczyzna. Kiedyś, kiedyś, ponad 20 lat temu nawet nasze drogi się skrzyżowały, gdzieś się spotkaliśmy, ale kontaktów żadnych nie utrzymywaliśmy. Mijaliśmy się za to na Targach Książki, bo zawsze razem z żoną byli obecni, można ich było spotkać przy różnych stoiskach, bo i wspólnie pisali sporo – o miłości, narzeczeństwie, małżeństwie, wychowaniu. Pamiętam, że jeszcze oboje mignęli mi w zeszłym roku w Arkadach Kubickiego. Potem przyszła wiadomość, że żona nie żyje. Odeszła po ciężkiej chorobie. Pięćdziesięcioparoletnia kobieta, tak bardzo jeszcze potrzebna tu po tej stronie, kiedy jej dzieci weszły w dorosłość, a na

świecie zaczęły pojawiać się wnuki. Pan Bóg miał jednak inny plan. Zabrał żonę do siebie. W tym roku na targach był tylko mąż (nie licząc oczywiście wspierających go dorosłych dzieci). O obecności żony przypominały piękne zdjęcia, które mąż cały czas ze sobą nosił, które były obecne na stoliku, kiedy już sam w tym roku podpisywał książki, które pisał przez lata wspólnie z żoną.

I w tym wielkim tłumie i hałasie ten mąż dał mi najpiękniejsze świadectwo życia małżeńskiego, jakie kiedykolwiek słyszałam. Osierocony mąż, od ośmiu miesięcy wdowiec, z taką miłością opowiadał o wszystkim, co robiła żona. O tym, jak wspólnie pisali książki, jakie miała pomysły, ile wносиła w każdą kolejną publikację sygnowaną ich wspólnym nazwiskiem, ile jeszcze miała pomysłów, jak chciała formować młodych ludzi i przygotowywać ich do małżeństwa, jakie rady miała dla rodziców, którzy w niełatwym świecie chcą dobrze wychować swoje dzieci. I za każdym razem z taką wielką czułością wymawiał imię swojej żony, tak zdrobniale, tak jak pewnie na co dzień się do niej zwracał. I z każdego słowa tego mężczyzny przebijała ogromna miłość. W tych słowach nie było żalu, buntu, gniewu czy złości, było za to niesamowite podsumowanie wspólnych lat małżeństwa.

I choć sama nasza rozmowa nie trwała więcej niż dwadzieścia minut, bo już każdy z nas musiał uciekać do swoich obowiązków, dostałam w tym czasie niezwykłą lekcję miłości. Lekcję pokazującą, że śmierć nie musi być końcem wszystkiego. Ta żona, której fizycznie nie ma już na tym świecie, cały czas żyje, bo żyją ci, którzy ją kochali i nadal kochają. Miłość trwa nadal i ona tak bardzo obecna była w każdym słowie tego męża. Ta rozmowa to był doskonały dowód na prawdziwość słów z I Listu Koryntian, że „miłość nigdy nie ustaje”. Prawdziwa miłość przewyższa wszystko. Także śmierć. I choć ta jest kresem ziemskiego życia, nie jest – jak pokazuje rozmowa, w której miałam przyjemność uczestniczyć, kresem miłości.

PS. Dziękuję p. Piotrowi Wołochowiczowi za to niezwykle świadectwo miłości małżeńskiej, który z taką pasją i miłością opowiadał o swojej niedawno zmarłej Żonie, śp. p. Marioli Wołochowicz.

Małgorzata Terlikowska, 3 kwietnia 2017

[pierwotnie publikowane na portalu małydziennik.pl]